

Warszawa, dnia 11 (23) Lutego 1870 roku.

№ 8. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie—na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie. **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.— **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

LUDZIE SILNI I SŁABI

PRZEZ

Walerego Przyborowskiego.

Charaktery, usposobienia, siła wewnętrzna w ludziach przedstawia nam obraz dziwnéj rozmaitości. I ta to rozmaitość, ta różnorodność duchowéj organizacji ludzkiéj stanowi właśnie całą trudność dla psychologa, czyli badacza lepszéj natury człowieczéj. Niepodobna jednakże temu zaprzeczyć, że wspólność krwi, pochodzenia, stanu, narodowości, tworzy pewną stałą i niezmienną, a u wszystkich jednakową podstawę charakteru, na któréj dopiero jak na kanwie, wychowanie, okoliczności, otoczenie urabia niekiedy przepiękne a niekiedy szpetne wzory.

Życie nasze ma w sobie tyle łez, niedoli, cierpień, tyle nieprzewidzianych wypadków, że człowiek, przychodząc na świat, winien uzbroić sobie ducha, by być gotowym na wszystko i zwycięzcą zawsze... Ta gotowość właśnie, ta zbroja duchowa stanowi siłę charakteru. Człowiek taki podobny jest do olbrzymiego dębu, co dumny a silny, stoi niewzruszony, poważny i cichy w obec rozszalałych potęg wzburzonéj przyrody. A jeśli już przyjdzie taka wielka zawierucha, w obec któ-



Teraźniejsi krajowcy Australji. (do str: 78-éj)

rej ostać się nie może, to runie wielki, ale nieugięty. Przeciwnie atoli rzeczy się mają z ludźmi, pozbawionymi wewnętrznéj siły ducha. W obec niedoli życiowéj, w obec wichrów i burz gną się jak trzcina mała, płaszczą, brudzą i w końcu łamią.... Biada ludziom takim!.... biada społeczności, w któréj przeważa taka nieudolna organizacja duchowa!

Są społeczeństwa w naturze, u których przeważa właśnie owa słabizna charakteru, marzycielstwo, senność. Wynik to klimatu, gleby, wypadków historycznych, a wreszcie wychowania. Społeczność taka gnie się i łamie, hańbi i upada, dźwigając w swém łonie zarody śmiertelnéj choroby... Niezdolna do żadnego czynu, wymagającego siły i energji, niezdolna podnieść się śmiało z upadku wyzywając wszystko i wszystkich do walki, wlecze spodlony żywot, blada, konająca, biedna... Smutny to i olbrzymiéj grozy a nauki obraz.

Każda społeczność składa się z pojedynczych osobistości. A człowiek do człowieka, podobnie jak liść do liścia na jedném drzewie, nie jest nigdy całkiem podobny. Mają oni, jako należący do danéj organizacji społecznéj, pewną wspólność wewnętrzną, dotyczącą się czy to zasad, czy pojęć, czy wreszcie charakteru, ale całość jest różna. Otóż i w społeczeństwie takiém, o jakiém wyżéj mówiłem, znajdują się pewne silne charaktery, które patrząc i bolejąc nad nieudolnością ogółu, radzi pokrzepić go, wlać weń choć cząstkę swéj mocy duchowéj, ale gdy zabiorą się do téj pracy, po walce, szamotaniu się wielkiém, padają bezwładni, z odartemi skrzydły... Bo słabość jest jako wosk miękki, z którego nic trwałego ulepić nie można....

Na człowieku słabego charakteru w żadnym razie i wypadku polegać nie można. Wnętrze jego duchowe jest podobne do tafli wód morskich, które falują pod najlżejszym wiatru powiewem, odbijając w sobie i niebo z lazuru i chmur czarnych bałwany. Nie ma tam przekonań, nie ma zasad;—wszystko się co chwila zmienia pod wpływem przyjaznych lub nie okoliczności. Jest to zniewieściałość doprowadzona do ostatecznych krańców, nieposiadająca atoli w sobie nic z tego, co wdziękiem i urokiem otacza słabość niewiasty. Słabość męzka jest pogardy godną, haniebną, obrzydzenie budzącą....

Powtarzam więc raz jeszcze, że biedną jest ta społeczność, w któréj przeważają słabe charaktery. Poprawa, a raczéj reforma, jest tu rzeczą konieczną, niezbędną, jeśli ta społeczność chce żyć.. A ponieważ społeczeństwo z jednostek się składa, więc reformę od takowych zacząć należy.

Ponieważ słabość charakteru wynika głównie z wadliwego w zasadzie wychowania, trzeba zatém przeprowadzić poprawę w wychowaniu. Ludzie słabi, zwykle chowani byli przez kobiety, które z natury swojéj podobne są do słońca, promieniejącego wewnętrzną swą istotą na zewnątrz, oblewając zatém wszystko i wszystkich treścią naturalnego swego usposobienia. Usposobienie to polega, jak wiadomo, na czułostkowości, marzycielstwie mniéj lub więcéj potężném, na uczuciu rozbujałém a nie hamowaném przez rozum. Jeśli więc chłopię młode w zaraniu swego żywota wejdzie w koło onych promieni niewieścich, a jako natura dziecinna niesłychanie wrażliwa wsiąknie je w siebie, toć z czasem wyrośnie na mężczyznę, którego ogół nazwie *babą!*

U nas baby takie przeważają. Cokolwiek powiemy na obronę naszego rodu męzkiego, zaprzeczyć temu przecież trudno, że kobiety w ogóle są u nas więcéj wykształcone. Ztąd, wreszcie i dla tego, że mężczyzna ma swoje zajęcia po za domem, wychowanie pierwotne, a zatém najważniejsze, leży w ręku kobiet-matek. A chociaż zdarza się nieraz, że zajęcia męzkie są tego rodzaju, że on przebywa ciągle w rodzinném kole, to przecież radzi oddajemy chłopięta nasze pod przewodnictwo matki.

Ztąd wyradza się owa powszechna słabość charakteru. Nie broni nas to przecież, że w obecnym układzie społecznym inaczéj być nie może, bo spojrzmy proszę np. na Amerykę. Tam mężczyzna także mniéj jest wykształcony od kobiety, także zajęty po za granicami domu, zostawiając wszelkie starania koło fizycznego i duchowego zdrowia dziecięcia, matce. A przecież nikt nie powie, kto choć cokolwiek zna społeczeństwo amerykańskie, by przeważały tam słabe, niewieście charaktery. Owszem, Ameryka odznacza się niepokonaną energią, zuchwalstwem prawdziwie młodzieńczém, szybkością w wykonaniu choćby najszaleńszych pomysłów i surowością iście demokratyczną i męzką swych przekonań. Gdzież więc leży przyczyna téj różnicy tak widocznéj, a wynikającéj z jednego źródła?... Oto w tém, że w Ameryce kobiety umieją chować swe dzieci, patrzą na życie nie jak na zabawkę, ale jako na ciężką i mozolną wędrówkę,—jedném słowem, tam są kobiety inne jak u nas.

Trzeba więc nam kobiet innych. Oto oś, koło któréj obraca się przeważna część naszych kwestji socjalnych. Tyle już mówiono i pisano o kobietach, że nie można nic nowego w tym względzie powiedzieć, wreszcie na co się to zda, bo przecież:

.....Wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu, gdzie nie trwa myśl nawet godziny!
Mówię, bom smutny i sam pełen winy....

WESELE JEDYNACZKI.

Jedynaczko, najdroższa ty moja!
Słuchaj: takie sprawię ci wesele:
Najprzód gości sproszę bardzo wiele,
Wszak tyś jedna w mym domu dziewoja.

Ze trzech stolic Europy wielkich,
Bo z Paryża—Wiednia i Warszawy,
Nasprowadzam strojów tobie wszelkich,
Co niemiara dla twojéj zabawy.

Co do kuchni—kuchmistrz z nad Sekwany,
Zamówiony już wcześnie przybędzie,
I aż z Wiednia przyjdą marcepany,
I pasztetnik, sławny w swym urzędzie.

A co wina—to nie węgrzyn wcale!
Bo cóż węgrzyn dzisiaj tam za dziwy?
Ale szampan!—a szampan prawdziwy
Krążyć będzie obficie—wspaniale.

A muzyka—jaką chcesz kochanie?
Jeźlić z Drezna przypada do ucha,
To najchętniéj ojciec cię posłucha,
Jako zechcesz, zadosyć się stanie.

Jedynaczka słucha zadumana,
Wreszcie spojrzy i rzecze nieśmiało:
Jeślim ojcze twoja ukochana,
Przyjm więc prośbę odemnie tę małą.

Zamiast strojów, wina i kucharzy,
Co sprowadzać chcesz na me wesele,
Sprowadź ty mi smutnych i nędzarzy,
Których teraz w świecie tak jest wiele.

Niechaj jednych jałmużną uraczę,
I nakarmię, napoję dowoli,
Niech z drugimi jak siostra zapłaczę,
I pocieszę ich w tém, co ich boli.

A jeżeli im twarz rozweselę,
Z smutnéj duszy uśmiechu dobędę,
To mi powiesz: masz huczne wesele,
A ja ręce twe całować będę.

Ojciec słucha—a gdy przepraszała,
Że się woli téj opierać waży,
To skroń jego dziwnie zajaśniała,
I łza szczęścia spłynęła po twarzy.

Amelja P.

CZTERY PORY ROKU.

OBRAZEK z NATURY.

PRZEZ

J. I. Kr.

Wiosna! W Marcu już jak najuroczyściéj zapowiedział ją kalendarz. Wiosna! poetyczna pora roku w wieńcu kwiatów, w obłokach woni, w aureoli młodych słońca promieni... Ktoś już widział przelatujące na północy ptastwo? Mówią ludzie głucho o chudych bocianach, które u ciepłych źródlisk próżno absentujących się żab szukają i ktoś nawet już słyszał śpiewającego piosnkę odmłodzenia skowronka S. Agnieszki. Ale, pomimo tych pięknych obietnic i nieochybnych znaków, chłód okrutny, śnieg mokry pruszy, wiatr wieje ostry, niebo osnute chmurami, trawy nawet pod płotami na słońcu jeszcze się ukazać nie śmiały. Odważna pokrzywa ledwie głowę wytknęła i czeka. Starzy powiadają, że to znaki bardzo dobre, że śnieg jest potrzebny, że zimno może być zbawienne, że potém opóźniona wiosna przyjdzie jednego pięknego poranku, jak *Deus ex Machina*; tego jednak jakoś wcale jeszcze nie widać. Dzieci co dzień rano wybiegają na ganek i powracają sine, pomarzłe, smutne; starzy ostrożniejsi patrzą w strony przez zapotniałe szyby, w okularach egzaminują stary barometr, a młodszego jego brata, termometr Magiera posądzają o złe prowadzenie się i bałamuctwo. Wiosny jak nie widać, tak nie widać. Słońce, jeśli się przypadkiem zjawi na chwilę, tém pewniejsze po niém krupy i zawierucha biała. Wiatr dmie jak zapłacony flecista.

Na polach skorupy starej, zczerniałéj zimowéj powłoki śniegowéj, leżą rozłogiem, w lasach i po kątach od północy całe kupy śniegu, który przewidując koniec jaki go czeka, poczerniał ze złości. W kalendarzu kwiecień, na podwórzu plecień — słota i zimno. Na upartego wytknęła się gdzie niegdzie słabowita zieloność, ale ją chłód zwarzył. Rośliny puszczają na nowo i na nowo marzną—ale z wytrwałością walczą z naturą, tymczasem kalendarz zapowiada różne piękne rzeczy, a poeci opiewają Florę i Zefira... chociaż czapka barania ledwie od niego ochronić może. Cierpliwości! czekajmy! Powietrze przecie już znacznie cieplejsze, chmury pokładły nowe sukienki garnirowane białemi falbankami. Kiedyś nareszcie śliczna wiosna przyjść powinna. Z lasu przyniesiono pierwiosnki, ale wszystkie prawie mają nosy poodmrażane,—pieszczochy!! o południu, jednego dnia zrobiło się aż gorąco — ha! to już przecie coś znaczy! dzieci powybiegały do wilgotnego ogrodu po katar; starsi zaopatrzyli się w febrę dla przyjemniejszego spędzenia czasu. Około wieczora skwar zakończył się gwałtowną burzą i deszczem, który z gradu przeszedł w śnieg cale przyjemny. Nazajutrz przymrozek i zimno djabelskie. Pomimo to, co rosnąć powinno czując się do obowiązku, na gwałt z ziemi dobywa i ufne w kalendarz, idzie przebojem! Wiatr tymczasem dmie z północy, wszystko się poostrzyło na polach; w kilka dni sucho, pył, zimno znowu. Drzewa jednak zaczynają pękać; cóż mają robić, choć słońce jak malowane, świeci a nie grzeje... Otóż i Maj! chwała Bogu! Tylko że kożucha nie sposób zrzucić jeszcze. Zimno, bo mają kwitnąć głogi, zimno bo kwitną jabłonie, zimno bo zimno.... Gardła puchną, febry się radują, china uszczęśliwiona także, aptekarze zacierają ręce, katar w najlepsze się rozgościł—aż na ostatek i koniec tego ślicznego Maja.

Jednego dnia znowu zrobiło się ciepło, gorąco, parno, drugiego termometr puścił się rozpędziwszy do trzydziestu stopni; —jużeśmy pożegnali kaftaniki i kożuchy. Ale jakaś omyłka zaszła w ekonomice niebieskiéj, bo się nagle zanosi na kanikułę. W pocie czoła napawamy się wiosną. Skwar zrodził burzę znowu, burza sprowadziła grad wielkości jajek gołębich, po gradzie dziesięć dni zimnéj ulewy jak z wiadra .... ale przecież dojechaliśmy do lata..... Lato musi być piękne niezawodnie.

Na Niebie wszystko w porządku; dzień tak już urósł że się pomiarkował i cofać zaczyna, nadto go było, a ci co spać lubią, narzekali. Słońce niewiadomo w jakim znaku dopieka okrutnie, żeby dług zimnéj wiosny zapłacić. Na polach od chłodu i deszczów zimnych, potem od posuchy i skwaru oziminy i jarzyny licho pobrało. Ale ba, jeszcze mogą puścić pogońce. Żniwa dopiero prawdę pokażą, wydaje się to tak obrzednio, ale za to powinno być omłotne. Gospodarze zaręczają, — tym czasem piecze jak powinno — djabelnie piecze nawet, w studniach zaczyna braknąć wody, w stawach także płyciéj coraz — powietrze jakby je piekarz w piecu preparował, tchnąć niema czém, noce gorące, wieczory parne, dnie kanikularne... psy się wściekają a ludzie wątrobowi wyzywają na pojedynki — jednakoż ze zmianą księżyca, ja wam powiadam, zobaczycie! Otóż jest... Na pełni miesiąca zebrały się chmury powoli, nadciągnęły burze i grady, gdziekolwiek było lepiéj na polu, wytłukło ze szczętem, ale od czegóż towarzystwa asekuracyjne — i robotnika najmować nie trzeba. Burze idą jedna po drugiéj, po każdéj z nich zimno, bo grady bardzo gęste... potém nagle zapiecze i od zachodu wali siny zastęp obłoków; — pioruny nietylko po lasach bawią się ze staremi sosnami, z którémi mają dawne nieporozumienia, ale po budynkach dowiadują się o kon-

duktory, a nie znalazłszy ich gospodarują ogniem i mieczem. Ale od czegóż towarzystwo ogniowe? tożby się sekretarze pospali!

Nie—stanowczo, jakoś się i lato nie udało. Łąki poschły gdzie nie są zatopione, oziminy nędzne, suchotnicze, jarzyny rachityczne, poostrzone w dodatku i choróbska dostatkiem. Pessymiści prorokują księgosusze, w owczarniach motylica i kopytkowa zaraza, gdzieniegdzie ospa. Wszystko to jest potężną rozrywką, ażeby się człowiek nadto nie rozpieszczał i nie zasypiał.

To przynajmniéj pewna, że po wiośnie i lecie brzydkiém jesień musi być wspaniała; — wszyscy starzy ludzie, przysłowia, książki, zgadzają się na to że nie chybi.

Tymczasem po burzach spiekota, posucha. Ziemia się ścięła i popękała szpary ogromnemi; na drzewach liście schną przed czasem. Trawy spalone żółkną, wszystkie zboża karłowato wyglądają, ale chwasty i pokrzywy bujają szczęśliwie; — one się nie boją niczego, to ludek zahartowany. Słońce zachodzi codzień czerwone bez promieni, jak kula bilardowa do łuzy. W powietrzu sucha mgła we dnie, lasy się palą, torfowe dymy jakieś się włóczą..... ale może to z tém zdrowo! pastuch od bydła, który liczy sobie lat dziewięćdziesiąt, mówi codzień w karczmie po trzecim kieliszku, że takich kilka lat pamięta i że zawsze po każdém z nich bywały straszne urodzaje.



....przed naszemi oczyma, snują się: to obłoki deszczowe, to przeróżnéj barwy chmury. (Str. 78 szp. 1)

To tylko bieda, że mimo posuchy, robactwa w polu ogrom, po lasach liszki całemi milami liść objadły i suche tylko stoją gałęzie. Ze skwaru wielu apopleksji podostawało, choć ten i ów ze stuletniego kalendarza krew puszczał w dnie wyznaczone... Ale taki już rok, że nic nie pomaga, przecież jakoś, dobijamy się do jesieni. Chwała Bogu!

Jesień wynagrodzi za lato — zgodnie wszyscy się tém pocieszają. Niepotrzebnie zapewne i pospiesznie tchórzliwe gęsi, bociany, jaskółki zabrały się i odleciały. W lasach cisza grobowa, na polu nawet ściernia nie widać... gdzieniegdzie buja rumianek, przypominając się słabym żołądkom. Zbiory były fatalne, co gorzéj, próby omłotu pokazują ziarno drobne, zawiędłe i niewydatne.... Żyto wygląda jak poślad, a pszenica do niczego niepodobna, owies długi i chudy, jęczmień pomarszczony i w złym humorze, hreczka zupełnie przepadła. Owoców tak jak niema, bo na zawiązki był przymrozek, tylko tarnina się udała, warzywo drobne, kartofle poschły wcześnie, pasternaku za to obficie i okazale.

Źle jest, nie ma co mówić,—no—ale zawsze dobrze być nie może.

Nie ma co sprzedawać, ale ceny ogromne—i to pociecha....

I to niemiłe, że na polu dla posuchy pługiem ziemi ani ukroić,—gdyby skała skamieniała. Lemiesze się łamią, chudoba bokami robi — trzeba czekać —tylko żebyśmy się nie spóźnili z siejbą.... Ale siła złego tyla na jednego.

Stanowczo rok to, któryby Józef do chudych zaliczył;—jedne orzechy zrodziły obficie—cóż, kiedy wszystkie prawie świstuny; wiewiórki plują z desperacji... co orzech to robak. Chmiel też posechł doszczętnie, piwo będzie drogie, niczém się nawet pocieszyć—chyba do niego szaleju domieszają.

Spodziewano się deszczu na ostatniéj kwadrze; w istocie niebo się zachmurzyło, powietrze znacznie ochłodło, obłoki ołowiane przywdziały barwę zimową—zaczyna być dobrze chłodno—ale za to sucho i sucho. Deszcz co poprobuje, kapnie, to jakby go co z góry za poły wstrzymało, zrywa się niedyskretny wiatr i rozpędza... Domodlić się go nie podobna. Po gościńcach wichrzysko pył tumanami nosi, aż oczy puchną... Liście poopadały przedwcześnie, resztę przymrozki zwarzyły, popaliły i już się to ledwie trzyma. — Zwierzyna nawet tego roku chuda, zające chore na motylice, dziki mają trychiny, sarny z melancholji wyschły. Na bydło zaraza, ludziom nie lepiéj; — kto nie umarł w Marcu dociągnie najdaléj do Listopada.... A pogrzeb w Listopadzie, to przynajmniéj połowa tyle chorych co grzecznych; kto po szedł na cmentarz, wcześnie sobie miejsce może opatrzéć.

Nic smutniejszego nad suchą jesień;—baby wprawdzie są, ale babiego lata nie było,—drzewa stoją jak skielety, łąki brudne i czarne; niebo jakby staremi ścierkami pozawieszane... w perspektywie zima twarda i długa — ale powietrze się oczyści. Rozweseliłyby zasiewy nowe, cóż kiedy spóźnione, ruń leniwo porasta, kraski nie zrzuca. Ziarno mizerne powschodziło rzadko i ubogo... Zima kroczy.... zima!.... wszystko przyjdzie do porządku!...

W Listopadzie były słoty i chłody, ale na zimę to jeszcze zawcześnie, zwykle ona u nas na prawdę przychodzi dopiero w Grudniu, a wysila

się najmocniéj na Gody, potém zelży około Trzech Króli i nanowo w Lutym i Marcu się powtórzy.

Doczekaliśmy się też i Grudnia. Czy by znowu i zima być miała oparzelista? Śnieg co napada to ginie, co się pokaże to stopnieje, chowa się po kątach a deszcz go wypędza. Są dnie tak czasem ciepłe, że aż śmiesznie... Deszczyk cichy pada jak na wiosnę. Widać, że gdzieś w niebie był przymrozek, potém odwilż zwyciężyła... Wróble kontente jak w raju, — chodzą tłuste, czubią się; a wiedzą bestje, że im ta zima robaków narodzi, i będą miały czém się napaść.

Z pod Lipska, gdzie je zabijają na słoninę, zleciały się do nas wszystkie i awantury wygadują na Niemców.

Styczeń się namyślił, było kilka przymrozków—ale



....zkąd parowy okręt wypływa w daleką drogę. (Str. 78, szpalta 1)

zapaśny, to go teraz zlewają. Mróz, o który u nas zwykle prosić nie trzeba, gdzieś około północnego bieguna zabałamucił się i zapomniał godziny; termometr co opadnie do zera, powraca drzemiąc na parę stopni ciepła. Pora w ogóle tak przyjemna, iż Anglikom przychodzą samobójcze idee.— Mgła, prawdę rzekłszy, choć nożem kraj; o południu świeca nie jest zbyteczną, a o drugiéj ochota bierze pójść spać. Wilgoć osiada na wszystkiém, na człowieku, na domach, na murach na drzewach, ze wszystkiego kapie, gałęzie plują, rynny płaczą..... Oddycha się wodą, brnie w wodzie, grzęźnie w błocie. Piąty ten żywioł, odkryty na Północy przez Francuzów, dopomina się praw swoich i zwycięzką rozwija potęgę.... Na groblach są miejsca uprzywilejowane, pełne żółtéj cieczy, w których jeśli nie stoi wóz ugrzęzły do wiosny, sterczą przynajmniéj połamane koły i koła na dowód siły błota.... — Łąki zmieniły się w trzęsawice, na piaskach nawet coś nakształt dobrze zgotowanéj zacierki. Wszystkie koleje po drogach świecą jak srebrne wstążki, co w nocy ułatwia wielce wędrówkę... na polach zagony pływać się zdają.... w lasach sosny jakby nogi moczyły...

Mrozu! pożądanego mrozu! ani widać. Wigilja przyszła z deszczem. Gody po wodzie. Wielkanoc będzie po lodzie; smutne na przyszłość widoki... Ciepło aż dusi. Na Nowy Rok namyślało się na śniegu mało a sanny pół godziny. Padał wprawdzie mokry,—ale topniał zaraz, rzeki tylko powzbierały i pola pozatapiało. Trzeba czekać do Lutego, Luty pokaże co umié. W istocie mróz chwycił na gołe pola,—jakoś i to nie bardzo zdrowo. Ale kto wié, nim przyjdą wiatry marcowe coby wysmaliły wszystko.... śniegu jeszcze coś naniesie... chmury chodzą jak kotne...

Tymczasem w Gazetach prawią, że na Maderze śniegu trzy łokcie, że w Hiszpanji pomarańcze pocukrował, w Neapolu bawił trzy godziny, w Rzymie nocował, a gdzieś go tam potém zapędziło, że się wrócić do nas nie może.

Wiatr Marcowy przyszedł nieubłagany, pannom twarzyczki a panom pola poosmalał,.. i dopiero mróz... za wszystkie czasy... w samą porę.

Powiedzcież mi, szanowni ziemianie, czy w błogosławionym klimacie naszym, nie bywa czasem tak???



Garnek parowy. 79, Str. (szpalta 1)

OCEANJA.

Życie i prawa! Te dwa pojęcia jakby nierozerwanym węzłem połączyło z sobą odwieczne prawo, wiążące z sobą w jedną całość byt nasz z warunkami jego istnienia; schylamy pokornie przed niém czoło, poddajemy mu się bez szemrania, czujemy bowiem, że wartość naszego życia, jego zaletę i najpiękniéjszą ozdobę, stanowią użyteczne prace, wykonane dla dobra społeczeństwa i naszéj korzyści.

Warunki towarzyskiego bytu wskazały nam drogę, jaką postępować każdy z nas musi i któréj dla lada zachcianki zmieniać mu nie wolno; wzdychamy wszakże do chwil wytchnienia, do swobodnéj pracy ducha, niezależnéj od codziennéj rutyny. Nie masz człowieka pojmującego swoją wartość, któryby w wolnéj chwili nie zapragnął wiedzieć i poznać coś więcéj nad to, co mu codzienny chleb zapewnia; wtedy myśl jego czepia się każdéj nitki, bodaj najsłabszéj, jaką mu obfity skarbiec wiedzy jakby z łaski poda; niedaleko wprawdzie za nią zajdzie, wątła nitka nie na długo mu wystarczy, jeżeli nie dopatrzy nowéj i silniéjszéj, po któréj daléj posunąć się zdoła. Niepodobieństwem byłoby streścić, dokąd myśl wolna zaprowadzić każdego z nas może; pochwyćmy chociaż jeden jéj wątek, idźmy za nim swobodnie, dokąd nie dojdziemy do celu téj umysłowéj wycieczki.

Znaleźliśmy wolną chwilę, spoglądamy swobodnie; przed naszemi oczyma snują się na firmamencie to obłoki deszczowe, to przeróżnéj barwy chmury, unosi je lekki, przyjemny, od południa wiejący wiatr. Jakby od niechcenia, mimowoli prawie pragniemy wiedzieć zkąd one płyną, jak wygląda ta część naszego globu, w któréj tworzą się i zkąd nam przynoszą pożądane atmosferyczne zmiany? Idźmy więc w stronę przeciwną ich biegu; ląd stały nie na długoby nam wystarczył i nie doprowadziłby nas do zamierzonego celu, opuśćmy więc rodzinne nasze siedziby, pójdźmy do Atlantyckiego portu, zkąd parowy okręt wypływa w daleką drogę, któréj kresem być mają rozległe wyspy, na południowéj półkuli pomiędzy Ameryką i Azją, wśród Oceanu rozrzucone.

Wiatr pomyślny dmie w napięte żagle, nieprzejrzana wód przestrzeń żadnéj nie przedstawia zmiany; lecz nad głowami naszemi te odległe światła, które wśród pogodnéj nocy, wysoko nad poziom wzniesione, za odwieczne świeczniki rodzinnéj naszéj strony uważać przywykliśmy, powoli, coraz bardziéj do poziomu zbliżać się zaczynają; gdy wreszcie polarna nasza gwiazda nurza się we mgle blisko horyzontu, a Krzyż południowy nieznane dla nas ukazuje gwiazdy, wtedy jakaś trwoga przejmuje dusze całéj okrętowéj osady, zbliżamy się bowiem do téj strasznéj pracowni, gdzie natura dla wszystkich części naszéj ziemi przygotowuje dnie jasne i burze;—jest to pas Równika.

Okręt nasz, który niedawno jeszcze jak ptak lekki posuwał się po gładkiéj morza powierzchni, nagle staje nieruchomy, bezwładne żagle zmięte wiszą u rejów, słońce ognistym piecze żarem, pokład parzy jak rozpalona blacha. To cisza morska; trwa ona już dni parę, tymczasem zapas wody i żywności zaczyna się zmniejszać, pragnienie i głód niszczą odwagę i wytrwałość majtków; dzikie, złowrogie ich spojrzenia malują rozpacz i mordercze zamiary. Wtém, słońce nad zachodem czerwoną przybiera barwę, już w dali słychać pierwszy poświst wiatru, wkrótce wzdymają się żagle, niebo okrywa się nieprzejrzaną chmur oponą, wicher gwałtowny sroży się, piętrzą się bałwany, ciemność nocy oświeca blask błyskawicy, huk grzmotu powiększa okropność burzy; okręt, rzucany jak lekka skorupa, jęczy we wszystkich spojeniach, szczęśliwy jeżeli przetrwać zdoła tę straszną walkę z rozhukanémi żywiołami i ujrzy wkrótce jasno wznoszące się słońce nad nieprzejrzaną wód przestrzenią, szybko uciekający szum wiatru i wyrównywającą się morza powierzchnię, przynoszące mu po przetrwaniu niebezpieczeństwa, zamiast spokoju i wytchnienia, nowe troski i trwogę. Tak kolejnie burza i cisza na przemiany dręczą okręt i jego osadę, dokąd ten nie przejdzie po za pas Równika i nie wkroczy w granice wiatrów stałych. Niepodobieństwem jest policzyć, wiele w tych stronach burza zniszczyła okrętów, wielu ludzi z głodu i pragnienia tu śmierć znalazło, wielu na bezludnych i dzikich wysp wybrzeżach daremnie szukało ratunku i schronienia.

Trudno zapewne odgadnąć, co za uczucie wiodło żeglarzów w te niegościnne strony, oddzielone od nas niezmierzoną Oceanów przestrzenią, przedstawiającą trudne do zwalczenia niebezpieczeństwa; pytamy z zadziwieniem: Czy była to chęć sławy? Czy żądza bogactw? Czy potrzeba szukania niezwykłych wrażeń? Czy dążność do poznania tego, co jest nadzwyczajném, nieznaném, zdumiewającém? Czy pragnienie naukowych odkryć? Czy wreszcie przeczucie, że stare lądy, wkrótce za szczupłą przedstawią przestrzeń, dla coraz bardziéj wzrastającéj ludności i że kiedyś Europa z wdzięcznością wspominać będzie nazwiska tych, co pierwsi pomyśleli o wyszukaniu nowych siedzib dla ludzi, których ojczyste zagrody nie będą w stanie wyżywić i pomieścić? Cokolwiekbądź wreszcie, nie pytajmy o to, dosyć, że czas odkryć ziem odległych i nieznanych uważać nam zawsze wypada jako jeden z najpiękniejszych ustępów historji, wpośród którego błyszczą imiona, mające niezaprzeczone prawo do niespożytéj wiekami sławy i wdzięczności.

Żadne pióro, mówiąc o piątéj części świata, tworzącéj labirynt różnéj wielkości wysp, rozrzucony wpośród Wielkiego Oceanu, na niezmiernéj długości 2,400 mil, nie zapomina wspomnieć o żeglarzach, którzy pierwsi, przybywszy do tych ziem nieznanych, wskazali drogę, jaką w następnych poszukiwaniach inni w ślady ich wstępowali. Długi dosyć jest ich szereg, wspomnimy tu o znaczniejszych jakiemi są:

Znakomity Magiellan, który zwiedziwszy w roku 1521 wyspy Marjańskie i Filipińskie, na wyspie Malan w tymże samym roku z rąk dzikich krajowców śmierć poniósł.

Duyfken, który pierwszy w r. 1606 spostrzegł brzegi Nowéj Holandji.

Don Luis Veaz de Torres pierwszy przepłynął cieśninę oddzielającą Nową Holandję od Nowéj Gwinei.

Po nich bardzo wielu opływało różne części Nowéj Holandji, rozpoznawało jéj wybrzeża, opisywało położenie ich jeograficzne, płody, mieszkańców i t. d.; lecz nad wszystkiemi najświetniéj błyszczy imię Jakóba Cooka, który nie tylko wybrzeża Nowéj Holandji, lecz zarazem i bardzo znaczną liczbę wysp, na Oceanie Spokojnym rozrzuconych, odkrył i opisał. Zamordowanym został przez dzikich w roku 1779, w zatoce Karakekua, na wyspie Owyhei, największéj z wysp Sandwichskich.

W roku 1787 udał się w te strony La Peyrous, dowodząc dwoma wybornie uzbrojonemi okrętami, które burza rozbiła na wybrzeżach wyspy Wanikoro.

Nie możemy tu również pominąć Bougainvilla i d'Entrecasteaux.

Pójdźmy teraz, chociaż cokolwiek przyjrzeć się téj najnowszéj części świata, która stopniowo odkrywana i poznawana przez przeciąg czasu przeszło trzy wieki zajmujący, i obecnie jeszcze bardzo wiele ukrywa miejscowości, do których nie zdołało się przedrzeć pragnące wszystko widzieć oko Europejczyka. (*Dokończenie nastąpi.*)

PRZYRZĄDY W GOSPODARSTWIE DOMOWÉM.

Garnek parowy.

Gotowanie pokarmów ważném jest dla gospodyń zadaniem. Otóż dla ułatwienia owéj czynności technika wprowadza nowe do kuchni naczynie, garnkiem parowym (Anhydrat-Kochtopf) nazwane. Garnków parowych dostarcza p. L. Cohn w Berlinie na Hausvogteiplatz pod Nr. 12. Składa on się oprócz pokrywy z trzech części z pobielanéj blachy żelaznéj. Spodni garnek *A* nalewa się wodą, aby

się zamaczało dno drugiego naczynia *B*, weń wstawionego. Garnek *A* stawia się na ogniu; gdy się woda zagotuje, wstawia się garnek *B*, na dnie którego mały ruszt spoczywa. W garnek ten kładzie się mięso z dodatkami lecz bez wody, kładzie się pokrywę w ten sposób, aby wyskok znajdujący się na niéj, zaczepił o rurę znajdującą się na garnku, tym sposobem para, wydobywająca się z gotującéj wody w garnku *A*, nie może się dostać do mięsa lub potrawy, znajdującéj się w garnku *B*. Usuwa się teraz z ognia garnek cokolwiek na bok, lecz tak, aby się woda ciągle gotowała. Po dwóch, trzech godzinach, mięso jest gotowe. Jeżeli chcemy jednocześnie i jarzynę ugotować, to się daje jeszcze trzeci garnek *C*, którego dno opatrzone jest wyskokiem, zaczepiającym o rurkę garnka *B*. Garnek zamyka się pokrywą, napełniwszy go poprzednio jarzyną.

Jan Pietraszek.

Wiadomości Techniczne.

— **Oczyszczanie czcionek drukarskich.** Zwykle używa się do oczyszczania czcionek z czernidła drukarskiego, albo ługu mocnego, lub rozczynu sody, albo olejku terpentynowego. Wprawdzie wspomniane środki odpowiadają celowi, jednakże nowszemi czasy z daleko lepszym skutkiem używają tak zwanego eteru naftowego, t. j. nafty o nizkim punkcie wrzenia, tak zwanéj eksplodującéj. Nafta ta z łatwością rozpuszcza czernidło drukarskie tak, iż po namoczeniu czcionek, następném opłukaniu świeżą naftą i osuszeniu pozostaje na wielu tylko jeszcze mała ilość pyłu, z którego je suchą szczotką łatwo oczyścić można. Środek ten posłużyć także może do czyszczenia płyt z drzeworytami (tak zwanych kliszów), do czego ługu użyć nie można, z powodu tegoż gryzących własności. Nafta prócz tego jest prawie o połowę tańsza od olejku terpentynowego.

— **Środek przeciwko pękaniu cylindrów u lamp.** Zależy na tem, aby w szkle zrobić wcięcie w kierunku długości djamentem, jakiego używają szklarze. Jeżeliby tedy cylinder był w ogóle skłonny do pękania, takowe nastąpi wzdłuż zrobionego wcięcia, co jednak nie stanie na przeszkodzie dalszemu używaniu, i owszem uczyni cylinder jeszcze więcéj wytrzymałym, gdyż w skutek szpary zmniejszać się będzie naprężenie szkła, i takowe będzie się mogło rozszerzać lub kurczyć.

ROZMAITOSCI.

Żyd. Po długiém oczekiwaniu i zapowiadaniu, ukazał się nakoniec w zeszłym tygodniu na scenie Teatru Wielkiego, 5-aktowy dramat p. t. „Żyd," pióra p. Lubowskiego. Dramat ten *względnie* premjowany, w stosunku do innych utworów dramatycznych, (jak się wyraził komitet konkursowy we Lwowie), po przedstawieniu go po raz pierwszy w r. z. na scenie teatru Lwowskiego, nie cieszył się powodzeniem, ani uznaniem tamtejszéj krytyki, i przy pewnéj artystycznéj i literackiéj wartości, upadł po dwóch, czy trzech przedstawieniach. Taki sam los, niezawodnie, czeka go i na naszéj scenie, a jednak przy wszystkich wadach, błędach i psychologicznych nieprawdopodobieństwach, dramat powyższy nie jest powszednią robotą, a autorowi nie można zaprzeczyć rzetelnego talentu pisarskiego.

Fatalny stosunek, jaki zbiegiem historycznych okoliczności, wyrobił się u nas pomiędzy żydami a chrześcijanami, posłużył p. Lubowskiemu za główną podstawę dramatu, na któréj przekonania religijne, miłość, uczucie rodzinne, duma, szlachetność i wyrafinowana podłość, stanęły do strasznéj walki.... Widzimy więc, że „Żyd" p. Lubowskiego, jest dziełem na wskróś tendencyjném.

Pomijamy fabułę, czyli tak nazwaną bajkę dramatu, prostą, samą przez się nieciekawą dla widzów, a témbardziéj dla czytelników. Dwoje młodych ludzi, których ogarnęła atmosfera miłości, żydówka i chrześcijanin, mających prawo oddychać szczęściem téj ziemi, zdolnych do czynu, do poświęceń szlachetnych, mogących żyć i pracować dla ludzi, skutkiem fatalnego ustroju, religijnego fanatyzmu, łamią się pod ciężarem towarzyskich przesądów i pomimo wszelkich dodatnich stron moralnych, stają się w końcu nieużyteczni społeczeństwu. Taki jest, jeżeli się nie mylimy, główny cel i sens moralny dramatu p. Lubowskiego. Co do poruszonéj społecznéj myśli w dramacie, nie mielibyśmy nic do zarzucenia, gdyby tendencja przyobleczona była w odpowiednie kształty artystyczne, a ludzie występujący w dramacie nie stali w sprzeczności z życiową prawdą i z prawem psychologiczném, którego szczególniéj autorowi dramatycznemu zapoznawać nie wolno, pod karą prędkiéj śmierci tego, co stworzył...

Owóż tedy tytułowa osoba dramatu, ów żyd Goldsztein (p. Królikowski), jest według naszego zdania zupełnie chybioną kreacją. Zemsta jego, poczynająca się w 3 akcie, nie ma loicznéj podstawy; człowiek ten odrazu staje się innym, ale poprzednio nie odbył się w nim żaden proces psychologiczny, i co prawda, zewnętrzne okoliczności nie wpływają w niczém na rozdmuchanie téj zemsty, boć przecie szczera chęć żenienia się hrabiego, z jego córką żydówką, może znaleźć opór nieprzełamany w ojcu, skutkiem religijnych przesądów, ale żeby znowu za to mścić się, ograbiać człowieka, torturować własne dziecko, tegoby nie robił najbardziéj sfanatyzowany husyta, a Goldsztein przecie jest żydem cywilizowanym. Z braku właśnie téj prawdy życiowéj, charakter Goldszteina jest naciągany, nienaturalny i przy całem wysilaniu się p. Królikowskiego, dochodzącém w niektórych scenach do szarżowania, postać Goldszteina ocaloną być nie mogła i... nigdy nie może.

Elka, córka Goldszteina (p. Palińska) i hrabia Adam (p. Tatarkiewicz), nieszczęśliwi kochankowie, najlepiéj wyszli z całego dramatu, chociaż początek ich miłości przychodzi tak nagle, jakby się zrodził pod wpływem jakiegoś zaczarowanego lekarstwa na miłość, mogącego się znajdować w piórze autora, ale w ludzkiém sercu dzieje się trochę inaczéj. Gra szczególniéj pani Palińskiéj była wyborna, a jednak wyznać musimy otwarcie, że autor nie umié czytać w sercu kochającéj kobiety, bo taka Elka z czarnemi ognistemi oczami i z sercem gorejącém miłością, z całą wiedzą, nie pozwoli kopać przepaści pod nogami kochanka, chociażby ją kopały ręce własnego ojca, témbardziéj, gdy ojciec hańbi się tym czynem i rani córkę w najboleśniejszą stronę jéj duszy...

Helena (p. Bakałowicz) nakreślona jest tak słabo, że już prawie graniczy z niedołęztwem, a przytém i gra téj znakomitéj artystki, pozostawia wiele do życzenia. Scena w któréj się spotykają dwie kochanki, nie wywołała wrażenia, a przecież był to moment w sztuce, który autor mógł bardzo korzystnie wyzyskać dla swego dramatu. Nie zdaje nam się również naturalném, ażeby kochająca kobieta, powodowana zazdrością, wysłała lokaja śledzić za swoim kochankiem; usprawiedliwilibyśmy raczéj, gdyby sama z gołą głową, bez żadnego przygotowania, wybiegła patrzeć gdzie i do kogo kochanek wchodzi...

Z dwóch mniejszych ról: hrabiny i żyda Feinera, pani Niewiarowska i p. Sawicki, zrobili wszystko, co do nich należało.

Budowa sztuki grzeszy tu i owdzie pawtarzaniem się. Język piękny i dość poetyczny, chociaż często wpadający w afektacją i dla tego nierzadko staje się ckliwym.

M. Dzikowski.

— **Nowe dzieła.** *Rodzina Orskich* — powieść. *Wołodego Skiby* — Kraków 1869 rok. Cena rs. 1 kop. 50. Pod tym tytułem w końcu zeszłego roku ukazała się powieść, zaczerpnięta w niedalekiéj przeszłości. Główną figurą powieści jest Jan Korek czyli Korczak, jak się późniéj przezwał, ubogie ekonomskie chłopię, odbierające wychowanie i początkowe nauki we dworze pana Jerzego Orskiego, wspólnie z jego synym Michałem. Chłopiec zdolny ale zły z natury, sprzykrzywszy sobie koleżeństwo z paniczem, uchodzi do Krakowa gdzie w Jagiellońskim uniwersytecie kończy naukę prawa, i zostaje pomocnikiem najsławniejszege w mieście jurysty. Równocześnie z nim wchodzi w świat inny chłopiec, sierota z wioski sąsiedniéj imieniem Jacuś. Spotykają się obadwa. Jan wywiera nieograniczony wpływ na Jacka, który został jego towarzyszem i sługą. Podróżując razem, spotkali na drodze życia zgrzybiałego staruszka Pawła Zwańskiego i jego prawnuczkę Helenę, która na obudwóch robi wrażenie silne, choć odmiennéj natury. Gdy w sześć lat potém pan Jan Korczak, pełnomocnik jurysty i jego sekretarz Jacek sierota, okazują się w stronach rodzinnych, przybyli za interesami prawnemi, Jan łoży wszelkie usiłowania, aby tam ani jego, ani Jacka nikt nie poznał. Tam znów po raz drugi w życiu spotykają Helenę a wrażenie, które w nich wywołała za pierwszym razem, przeradza się teraz u Jacentego w najżywszą, pełną, poświęcenia miłość mającą przetrwać życie jego całe, — u Jana w najbrzydszą rachubę, która już miała zostać uwieńczona małżeństwem, — kiedy nagle, poznany przez swego najpierwszego nauczyciela Szumiłłę, ucieka, aby się nie ukazać na téj saméj widowni aż w 25 lat potém. W téj epoce widzimy go znów w téj okolicy, ale już jako dziedzica Bobrówki i kapitalistę, robiącego niezbyt sumienne, ale szczęśliwe dla kieszeni obroty. Hela już jest wtedy żoną Michała Orskiego i matką dwóch córek i syna Jacka. Korczak czyli Korek rozciąga sieć pajęczą nad całą okolicą, głównie zaś nad rodziną Orskich, których przyprawia o stratę majątku—a Michała o utratę rozumu;—lecz właśnie kiedy ma nadzieję córkę ich Antoninę pojąć w małżeństwo —niecna jego intryga odkrytą zostaje poświęceniem Jacka Sieroty; Korczak kończy życie samobójstwem, Orscy uratowani — a Sierota, szczęśliwy szczęściem przyjaciół i pokojem własnego sumienia, zamieszkuje na resztę życia w ukochanéj wiosce rodzinnéj.

Piękna i jasna w tym obrazie jest postać Jacka. Promienieje on obok Jana jak światło przy cieniu, — to też wdzięczni jesteśmy autorowi za narysowanie téj postaci z takiém uczuciem. Inaczéj, patrząc na obraz Jana Korczaka, mielibyśmy żal do autora, że to opuszczone dziecię ludu w tak niesympatyczném świetle wystawił; choć znając z innych pism zasady jego —i nawet przybrane jego w literaturze nazwisko, uważając jako sztandar wyznawanych przez niego opinij, wierzymy chętnie, że p. Skiba nie miał zamiaru spotwarzenia ludu, ani wyszłych z jego łona tych jednostek, co siłą woli i pracy wzniosły się na wyżyny społeczne, bez protekcji rodzinnych pargaminów. Lecz natomiast w całéj téj powieści widną jest zasada, iż człowiek jest i zostaje na zawsze takim, jakim go natura utworzyła. Błędna to zasada — nawet mogąca doprowadzić ludzkość do najsmutniejszych rezultatów. Człowiek, choć ma może więcéj złych niż dobrych skłonności—przecież natura nie tworzy sama takich potwornych charakterów. Otoczenie w jakiém żyje, wychowanie, zasady, a najwięcéj przykłady, rozwijają lub tłumią jego przyrodzone skłonności. Gdyby autor dał nam poznać rodziców Janka jako złych ludzi, mielibyśmy logiczną przyczynę jego moralnego zepsucia. Wprawdzie w sercu Janka mogła się zrodzić gorycz, ale Korek był już poprzednio bardzo zepsutym, kiedy chciał podpalić Szumiłłę.

Oburzająca jest także scena noclegu w chacie rodziców i zabicia psa, liżącego mu ręce,—tém więcéj oburzająca, że to było już po ukończeniu nauk w Krakowie, a przecież rozwój umysłu wywiera wpływ i na serce—a istoty obdarzone taką inteligencją i pragnieniem wiedzy, bywają, jeśli nie zawsze, to najczęściéj, wyższéj umysłowo i moralnie natury. Charakter Jacka nie tylko szczytny niekłamaném uczuciem i abnegacją, ale konsekwentnie przeprowadzony aż do końca — a nagroda jego życia prawdziwie taka, jaką znajduje zawsze cnota — w własném sumieniu — w pokoju wioski rodzinnéj. Hela i jéj dzieci, miłe i sympatyczne istoty, a cała powieść czyta się z zajęciem, które szczególniéj w tomie 2-im wzrasta coraz więcéj, a które cechuje wszystkie p. Skiby utwory.

Kornelja Drzewiecka.

HUMORESKA.



(W pierwszorzędnéj restauracyi).

GARSON: A pieniądze Jaśnie Panie?
JASNY PAN: Zapłacę jutro.
GARSON: A czemuś się *Pan* do jutra z jedzeniem nie wstrzymał?...... zjesz djabła—na drugi raz nie złapiesz mnie...... *kolego*, bo cię poznaję.

Wydawca, MIECZYŃSKI ADAM.—w Druk. J. Jaworskiego.—Za pozwol. Cenzury Rządowéj.—Redaktor: OSKAR STANISŁAWSKI.